

J. BRAUN.

## „DEMON FILMU“

32

Ale byli na jachcie ludzie, którym nie darmo wydano rozkaz śledzenia tej podejrzanej figury. Dwaj ludzie Daxa czołgając się za nim po pokładzie widzieli jak najdokładniej jego ucieczkę zdradziecką. Odczepili chyżo łódź po drugiej stronie statku i pojechali w trop za nim.

Jednym z nich był Tom, stary, wytrawny marynarz, przebiegły, lis jedyny do takich tajemniczych łowów, drugim Hick Clayton, istny rzezimieszek, „batiar portowy“, indywidualum używane od dawna przez barona Daxa. Był to zbir bez czi i wiary, zuchwały i sprytny, jak Japończyk, silny i zwinny, jak zwierzę, zdecydowany na wszystko.

Obcy marynarz, który zresztą z marynarką miał tyle wspólnego, że lubiał się kąpać w morzu — z zawodu zaś był policyjnym agentem, dobił do brzegu i wysiadł. Mijając wielkie, masywne zabudowania portowe, nurknął w ciasny, brudny zaułek słabo oświetlony przez krzywe, pokraczne latarnie. Przechodząc obok jakiejś zamorusanej, ordynarnej knajpy zawahał się, zatrzymał i wszedł do środka.

Hick wśliznął się zaraz za nim, a w minutę później stary Tom poszedł w jego ślady.

Marynarz-agent usiadł w kącie i zażądał whisky.

Pił wolno, z namaszczeniem smakując.

Spelunka była ostatniorzędą norą. Popstrzona przez muchy lampa jarzyła się u sufitu. W jej słabym świetle majaczyły w zadymionej sali przy stołach postacie pijących i rżących w karty obdartusów. Za ladą gruby, ruchliwy, rubaszny gospodarz rozlewał wódkę w kieliszki, kiwając się w takt muzyki. Trzej pijani majtkowie pili przy bufecie. Na większym stole tancerka „mała Mabel“ z ulicy, wsparta pod bok jedną ręką, drugą potrząsała nad głową tamburinem...

Przed nią przytupywał teraz Hick, „batiar portowy“ z kieliszkiem w ręce. Wypił, postawił kieliszek prawą, lewą strącił w tył kapelusz, schwycił Mabel i posadził ją sobie na kolanach.

Tymczasem obcy marynarz, usiłując widocznie dobrze grać swoją rolę wstał i szedł do bufetu z fajką w zębach, z rękami w kieszeniach, niedbale kołysząc się w biodrach. Gospodarz, drań z pod „ciemnej gwiazdy“, na którego mrugnął tymczasem Hick, wiedział już z kim ma do czynienia...

— Ładna dziewczyna — co? — pytał uśmiechnięty.

— A ładna...

— Tańczy, jak ja za młodu. Wspaniale — śmiał grubas. — Ho hop! muzykanty... zagrajcie co ostrego, ten pan będzie tańczył!...

Orkiestra uderzyła w instrumenty. Wgłębi poczęli tańczyć i przytupywać marynarze i robotnicy.

Obcy splunął i wsadził fajkę w kieszeń, obciągnął pas na brzuchu i porwał do tańca Mabel, którą właśnie Hick, udający pijanego z kolan strącił.

Tańczyli.

Marynarze przy bufecie klaskali w takt wesół.

Hick wstał i zataczając się przeszedł do bufetu. Poszeptał z gospodarzem. Wracając do stołu, nibyto straciwszy równowagę podstawił tańczącemu nogę.

— Psiakrew — zaryczał obcy padając.

Batiar zwałł się na niego. Rozległ się rumor walki i szybkie, zdyszane oddechy. Gospodarz zaciękawiony usiadł na ladzie...

Hick wyciągnął sztylet z za cholewy. Obcy ścisnął mu przegub — nóż upadł na podłogę. Dwie ręce przez chwilę napróżno usiłowały go schwycić. Gdy batiar dosięgnął go palcami, tancerka Mabel przystąpiła ostrze nogą, ten jednak zdołał go wyrwać z pod niej i — uderzył.

Obcy znieruchomiał.

Hick wyciągnął nóż z rany, obszukał kieszenie trupa i wstał, chowając do kieszeni papiery.

Wybiegł z knajpy...

Wkrótce potem na pokładzie „Bajadery“ Dax w zdobytych szpargałach odczytał następujące instrukcje zaopatrzone podpisem Borghe'a, Wielkiego Detektywa.

„Starszy agent Bluff uda się na pokład „Bajadery“, jachtu barona Daxa, w przebraniu marynarza. Gdyby Dax, recte „Demon Filmu“ przygotowywał swój jacht do ucieczki, agent Bluff da nam natychmiast znać o tem, czy osobiście, czy jakkolwiek inną drogą.

George Borghe...

Dax zadowolony śmiał się.

Poklepał po ramieniu Hicka i dał mu garść banknotów.

A nazajutrz o godz. 4-tej popołudniu przed gmachem „Pałacu Sprawiedliwości“ przechodził, zataczając się w prawo i w lewo zamaszycie pijany murarz z wiadrzem wapna w ręku.

Oj, zalany też był, zalany dokładnie.

— Patrz, patrz, oto pocieszna figura! — zaśmiali się stojący koło stopni budowli policjanci.

Murarz, straciwszy równowagę usiadł na marmurowych schodach.

Właśnie wychodziło ze wspaniałego portalu pałacu czterech uzbrojonych policjantów w hełmach szturmowych na głowie, (bo w stolicy zaprowadzono stan oblężenia i sądy doraźne), a za nimi wysunęli się z vestibulu jacyś wysocy urzędnicy.

— Dobry człowieku, tu nie wolno siedzieć — krzyczał jeden z policyjnych żołnierzy.

— Że co? — bełkotał murarz.

— Wynocha mi stąd! — huknął policjant spychając go ze schodów nogą.

Ale murarz zerwał się, wyjął z wiadra jakiś czarny przedmiot i cisnął nim z rozmachem w bramę gmachu.

— Bomba!! — wrzasnął i umykał co tchu.

Rozległa się straszna detonacja. Budynek zadrżał w posadach, gruz się posypał, dym i kurzawa lunęły w nabo i zasłoniły wszystko tumanem.

Na ulicy szalała panika.

Ludzie krzycząc i ięcząc przeraźliwie, uciekali środkiem ulicy, zasłaniając rękami głowy. Jakieś auto przewróciło się na bok — inne trąbiąc pędziły na oślep w tłum, woźnice trzaskali z biczów i okładali nielitościwie konie, galopujące, jak w szarży. Dym rozwił się, kurz opadł. Na schodach i na ulicy leżały trupy i skomleli ranni. We wszystkich kamienicach w sąsiedztwie gmachu wylciały szyby, w czeluściach okien ukazywały się wystraszone oblicza. Ulica opróżniła się. Środkiem pędzili konni policjanci.

Za chwilę auto Wielkiego Detektywa zajechało na miejsce wypadku.

Borghe wysiadł.

— To on — pomyślał i ze zgrozą oglądnął straszliwy obraz zniszczenia.

Tymczasem policjanci prowadzili już schwytanego mimo zamieszania i paniki murarza przed jego oblicze. Murarz brudny, zachlpany i poturbowany przez wściekłych żołnierzy stał przed Detektywem i uśmiechał się rozradowany...

— Człowieku! Popatrz, coś uczynił!

Ale złoczyńca nie objawiał skruchy. Przeciwnie — twarz jego miała wyraz dziecinnej uciechy ze spletanego figla...

Zasalutował do odkrytej głowy i kłaniając się rzekł:

— Wielmożny panie Borghe! Pan Dax kazał się panu kłaniać!

## ROZDZIAŁ XIX.

## Ostatni wieczór Daxa w Centralopolis.

Olbrzymia hala atelier wyglądała tak, jakby przeniesiono ją ze świata rzeczywistości, w świat dziwnej, oszałamiającej legendy...

Była jak stara, odwieczna, egzotyczna baśń z tych, które opowiadają dzieciom we śnie dobre wróżki. Czarowała oczy, pieściła słuch, upajała nozdrza i powlekała zmysłową gorączką koniuszki przewrażliwionych nerwów.

Wszędzie dookoła strzelały w górę niebosiężne sylwety kolumn owiniętych sznurami plecionymi z kwiatów. W górze oko gubiło się w chaosie malowideł, ornamentów fantastycznych i dziesięciobarwnych arabesk, jak gdyby to demon jakiś uwieńczył salę kilkakrotnym łańcuchem cudów Alhambry i Alkazaru. — Od sufitu zwisały w grubych, chaotycznych zwojach pofałdowane dziwacznie draperje, zasłony jedwabne trzydziestometrowej długości zamiatające pawimi ogonami frenzlistych trenów podłogę gmachu. Festony ljan i kwiatów, żyrandole w kształcie wampirów z rozpostartymi skrzydłami, w kształcie smoków o wypukłych rzeźbionych dnach, w kształcie wazonów pełnych kwiecica i skaczących tygrysów.

Pozatem atelier przemienione było w feerję kwiatów i drzew, w cieplarnię.

Ociężałe wisiorzy zieleni, kabłączaste gałęzie uginające się pod brzemieniem owoców i ogromnych liści, kosmate banie klombów. Na tle smaragdowych kul altan i palmowych gajów wściekle protuberancje szkarłatów i żółci, kąpiącej wonnym balsamem. Las paproci, labirynt ljan, pnący trzciny i migotające liści. Wskrzeszone cuda ogrodów Semiramidy.

Oko nurkowało w szalejących konwulsjach farb, w wachlarzach szafiru, w sturamiennych świecznikach karminu, w monstrancjach gorejących słoneczników. Wszystko dzikie, wybujałe, nabrzękle, jak krwiste wargi odaliski, zesuplane w spleć węzłów i pogmatwań, powiązane, zmotane w bukiety i kłęby, zwikłane w miljard skrzyżowań, przewijają i obrastań.

Przez kłęb zawrotnej gęstwiny promieniują smugi kolorowych reflektorów, pogrążając to królestwo kwiatów i snujące się ludzkie postacie w tumanach mglistych, barwnych blasków.

W głębi na czterech słupach rzeźbionych misternie w łodygi i liście baldachim z aksamitu. Pod nim estrada dla tancerek. W tyle za nią egzaltują się podniecone orkiestry.

Z kryształowych kadzielnicy parują pachnące dymy.

Na puszystym kobiercu stał stół niekazitelnie biały, lśniący bogatą zastawą i zachęcający wykwentem przysmaków. Podają paziołowie o szminkowanych twarzyczkach, w haftowanych mesz-tach, błękitnych szarawarach, szamerowanych złotem kabacikach i białych pióropuszech na głowie.

Jest tak przytulnie, tak dobrze, tak cudnie...

O, pan Dax umie urządzać swe Sardanopalone biesiady.

Jest mistrzem wywoływania w ciałach ludzkich ekstatycznie zmysłowych dreszczów. Zna każdy nerw, każdą słabość tej miękkiej, człowieczej glinki, umie potraćić struny najskrytszych pożądań, najsutelniejszych mrzonek oczu, podniebienia i siatki erotycznych narządów. Mistrz nad mistrze.

Libacja suta i jaskrawa.

(Ciąg dalszy nastąpi).